

Zapiski T. Gumińskiego - 22-28.02.1968

Czwartek, 22 lutego 1968 r.

Tłusty czwartek. Aby tradycji stało się zadość kupiłem pączków i poczęstowałem swoje dwie najbliższe współpracownice. Dzień był ten zresztą dla obojga szczęśliwy. Otrzymały awanse. Obydwie, zdaje się, nie oczekiwały takiej niespodzianki.

Lampką wina i pączkami traktowaliśmy się jeszcze z kierownikiem Wydz. Kultury i dwiema pracownicami tegoż.

Czwartek, 23 lutego 1968 r.

Ostatni tydzień karnawału - „tłusty czwartek”. Dla moich współpracownic był on takim faktycznie. Udało mi się bowiem załatwić ich awanse. Głównym argumentem w walce o tę podwyżkę był fakt, że np. kierownik poradni metodycznej Legn. Domu Kultury mający zaledwie wykształcenie średnie, dwa lata pracy zawodowej i studium kult.-ośw. pobiera uposażenie 1900zł. Tymczasem mgr T. S. z końcem sierpnia kończy 5 lat pracy w muzealnictwie.

Dla zachowania tradycji zafundowałem swoim pracownikom pączki. Będą lepiej pamiętały dzień swego awansu.

Sobota, 24 lutego 1968 r.

Wyjazd do Krakowa i Przemysła. Wyjechałem z Legnicy o g. 6:28. Po 12-ej byłem już w Krakowie. Pogoda fatalna. Przez cały czas mego pobytu tutaj lał dosłownie deszcz. Na jezdniach, chodnikach kałuże wody. Zwiedziłem tylko kościół Mariacki. Oddział Muzeum Narodowego w Sukiennicach był zamknięty z powodu remontu, podobną sytuację zastałem w Muzeum Historycznym m. Wrocławia. W antykwariatach książek daremnie szukałem wydawnictw dotyczących H. Sienkiewicza i rzemiosł metalowych. Znalazłem jedynie broszurkę o tym pisarzu wydaną gdzieś w latach 20-tych przez Tow. Czytelń Ludowych.

Lepiej przedstawiała się sytuacja w sklepach „Desy”. Zastałem sporą ilość świeczników, kandelabrow na sprzedaż. Ceny raczej niższe niż w Warszawie. Kraków tradycyjnie okazał się dobrym źródłem. Nie znalazłem natomiast żadnego medalu, czy plakietki związanej z H. Sienkiewiczem.

Po godz. 20-ej wylądowałem również wśród rzęsistego deszczu w Przemysłu. W przedziale nawiązałem rozmowę ze starszą siostrą zakonną, która siedziała naprzeciw mnie. Podczas okupacji pracowała w szpitalu w Oświęcimiu. Opowiadała m.in., co się działo po wyzwoleniu obozu w r. 1945, kiedy miejscowy motłoch rzucił się na poszukiwania kosztowności pozostałych po więźniach. Odkopywano ich zwłoki, rozgrzebywano rękoma doły kloaczne. Fekalia ludzkie nie odstraszały wcale hien miejscowych. Doszło podobno do tego, że Rosjanie strzelali do rabusiów.

Niedziela, 25 lutego 1968 r.

Seminarium poświęcone popularyzacji historii, które było celem mego przyjazdu, rozpoczęło się o godz. 9 z pewnym opóźnieniem.

Spotkałem tam niestrudzonego doc. dr Dmowskiego, sekretarza redakcji „Mówią Wieki” z Warszawy, red. Frąckiego, dyrektora Muzeum Ziemi Przemyskiej mgr Kunysza. Dwóch ostatnich teraz dopiero zapoznałem. Sala była początkowo dość pusta. Zapełniała się stopniowo. Przeważały panie. Był to jeszcze jeden dowód feminizacji zawodu nauczycielskiego, a tym samym niestety i malejących szans należytego rozwoju historii jako nauki w wydaniu regionalnym zaś w szczególności.

Obiad zjedliśmy w zamkniętym gronie: prelegenci, red. Frącki z Warszawy i ja. Gospodarze postarali się naturalnie o wódkę, co rozwiązało języki. Red. Frącki sypał bez przerwy anegdotami politycznymi. Na moje zapytanie, czy kierujemy się do lokalu, gdzie można będzie swobodnie rozmawiać odpowiedziano twierdząco. Tymczasem spożywaliśmy posiłek w dużej sali restauracyjnej „Polonia” mając dość liczne sąsiedztwo. Pociąg pospieszny, którym wracałem był przepełniony osobami jadącymi z za kordonu z odwiedzin u

krewnych. W przedziale byłem pod tym względem wyjątkiem. Najbardziej powściągliwi w rozmowie byli stali mieszkańcy Lwowa – on i ona jadący do Wrocławia odwiedzić rodzinę. W bezpośredniej rozmowie ze mną najszczerzy był jakiś starszy krakowianin wyglądający na podoficera lub rzemieślnika. Inna moja towarzysząca podróży o klasycznej urodzie ukraińskiej odwiedzała krewnych na Bukowinie. Pracują w sowchozie. W stronach rodzinnych była po raz pierwszy po 25-ciu latach. Była to kobieta zupełnie prosta. Podobnie była zaskoczona pijaństwem i złodziejstwem. Zarobki są nędzne. Była świadkiem, jak kobiety wyklinały panujący system wracając koleją z miasta i nie przebierały w słowach. Często w zakładzie pracy nie ma narzędzi, ale posiadają je tam zatrudnieni przywłaszczając sobie po prostu mienie społeczne. Ludzie, a szczególnie kobiety, są przedwcześnie postarzałe. Moja informatorka, mimo lat 50 wieku, nie miała jednego siwego włoska, jej koleżanki sprawiły na niej wrażenie zgrzybiałych staruszek.

Poniedziałek, 26 lutego 1968 r.

Dopiero o 4-ej rano byłem w domu. W przeciwieństwie do Przemyśla, który opuszczałem pod chmurnym, deszczowym niebem, Legnicę zastałem pod śniegiem, pełną uroku w ciszy nocnej i świetle lamp. W biurze praca mi nie szła po nieprzespanej nocy. Wieczór mimo to spędziłem w T-wie Przyjaciół Nauk. Księgowa – sekretarka mimo zapowiedzi w ogóle się nie pokazała.

Wtorek, 27 lutego 1968 r.

Miałem wieczór wolny. W biurze otrzymałem warunki konkursu na pamiątnik ogłoszony przez Instytut Terenów Uprzemysłowionych PAN, w którym wyraźnie napisano, że termin nadsyłania prac upływa w kwietniu 1967r. Nie zwrócono na to uwagi nawet w Wyd. Kultury, który druki rozsyłał. Niedbalstwo, czy po prostu druki przeleżały ponad rok w magazynie i teraz zrobiono z nich użytek.

Środa, 28 lutego 1968 r.

Z Głogowa przyjechał mgr M. Kaczkowski, kierownik miejscowego Muzeum Hutnictwa. Wypożyczyliśmy mu wystawę hutnictwa miedzi na pół roku. Jest to najpoważniejszy krok w naszej dotychczasowej współpracy. W końcu r. ub. przekazałem Muzeum w Głogowie różnych wydawnictw za 1000 zł ze zbiorów T-wa Przyjaciół Nauk. Otrzymałem 1 egz. świeżo wydanego informatora krajoznawczego o pow. głogowskim pióra mgr. Kaczkowskiego. Wydano go w nakładzie Świerzym 1200 egz. Wprawdzie uzyskano zezwolenie na podwyższenie, ale wiadomość nie dotarła do drukarni. W Zielonej Górze Muzeum zamknięte będzie przez lat 5 z powodu kapitalnego remontu budynku. Siłą rzeczy Głogów będzie musiał szukać współpracy z nami.